TOŻSAMOŚĆ · POLEMIKA

KONTRREWOLUCJI NIE BĘDZIE, CZYLI OBRONA POPULIZMU – CZĘŚĆ I

Jakub Siemiątkowski · 7 października 2024

Polemika Jakuba Siemiątkowskiego z tekstem "Dylematy nacjonalizmu: populizm czy nowa postać reakcji?" Sergiusza Muszyńskiego.

Wiązanie nacjonalizmu z rosnącymi w siłę tendencjami populistycznymi jest niebezpieczne – pisze w swoim niedawno opublikowanym artykule Sergiusz Muszyński. Wiadomo – wszystko może przybrać wymiar groteskowy, a i zawsze gdy mamy do czynienia z nowymi tendencjami, realna staje się groźba odejścia od pryncypiów. Daleko jednak bardziej niebezpieczne wydaje się utożsamienie nacjonalizmu – a więc dążenia do realizacji interesów narodu – z nurtem, który od dwóch wieków przegrywa wszystko, co jest do przegrania. Z pewnością współczesny, rosnący w siłę w Europie populizm ma swoje wady – to niejednokrotnie prąd efemeryczny, dopiero krystalizujący się i trudny do kompleksowej oceny. Niewątpliwie jednak stanowi on również wyraz realnego buntu przeciw liberalnemu establishmentowi – jakąś próbę odpowiedzi na przynajmniej część wyzwań stojących przed dzisiejszymi narodami. Reakcjonizm, monarchizm, rojenia o przedrewolucyjnym *ancien regime* i narodowych elitach odrzucających zasadę suwerenności narodu stanowią z kolei gwarancję marginalizacji.

Dla porządku podkreślmy na wstępie: cenne jest samo to, że dyskutujemy o kształcie nacjonalizmu. To bowiem rozumnie ujęty, wolny od anachronicznych fobii, zdrowy nacjonalizm ma daleko większe perspektywy wskazania narodom dróg rozwoju niż androny wygłaszane przez dogmatycznych libertarian czy pozującą na chadecję, do bólu mdłą centroprawicę – i dostrzega się to coraz częściej także w krajach Zachodu.

> Co jednak najważniejsze, nacjonalizm ten musi serwować wspólnocie wizje rozwiązania głównych problemów narodu i państwa, a nie wymuszoną przez sentyment bądź czynnik ideologiczny zabawę w rekonstruowanie historycznych form, z różnych powodów dawno już zarzuconych przez narody – wtedy i tylko wtedy ma to sens. Pytanie brzmi więc, co winien mieć ten nacjonalizm na celu: poszukiwanie wyabstrahowanego z realiów obecnej epoki ideału społeczno-ustrojowego czy może jednak realną odpowiedź na pytania o przetrwanie narodu polskiego i pomnożenie potencjału Polski.

Tę pierwszą opcję reprezentuje nurt narodowców szukających dróg syntezy swojego kierunku z myślą tradycjonalistyczną, zakładającą przeważnie postulat restauracji monarchii. Co prawda w tekście Sergiusza Muszyńskiego, z którym tu mam zamiar polemizować, takie sformułowania nie padają wprost, ale już w jego artykule z portalu „Myśl Konserwatywna" czytamy: „Jestem przekonany, że świadome przyjęcie przez nacjonalistę katolickiej doktryny o państwie w sposób spójny i konsekwentny musi prowadzić go do zrozumienia konieczności powrotu króla". Mniejsza o to, że przywoływany wielokrotnie przez Muszyńskiego Charles Maurras, jako agnostyk, uznawał pochodzenie władzy od Boga za fikcję. Istotne, że część nacjonalistów z sympatią spogląda na hasła monarchistyczne, kontrrewolucyjne – być może należy pogodzić się z tym, że taką właśnie formę może w niektórych kręgach przybierać niechęć do demokracji liberalnej. Wydaje się jednak, że da się tę tendencję nakierować na inne wektory, z pożytkiem dla samej sprawy narodowej. Niech będzie więc poniższy, dwuczęściowy artykuł nie tylko polemiką z kol. Muszyńskim, lecz także próbą odniesienia się do wywodów szerszego grona konserwatystów (nie tylko tych narodowych), których w zakłopotanie wprawiają pojawiające się na łamach Nowego Ładu czy „Polityki Narodowej" próby rehabilitacji części (!) rewolucyjnego dziedzictwa, którego owocem jest współczesny narodowy populizm.

Populizm to nie ludomania

Problem z tekstem Muszyńskiego polega w dużej mierze na tym, że postawił sobie on kilka chochołów, które następnie kolejno, bardziej lub mniej skutecznie, batoży. Przede wszystkim trudno mi przypomnieć sobie, by w polskiej publicystyce narodowej ktoś idealizował wyroki ludu jako takie, uznając je za ostatecznie rozstrzygające każdy spór. Nie funkcjonuje chyba nigdzie w kręgach nacjonalistycznych „bożek 50% + 1", który nakazałby, dla przykładu, uznać konieczność legalizacji aborcji, gdy tylko arytmetyczna większość ludu polskiego ją w jakikolwiek sposób poprze. Z tego, co mi wiadomo, powszechnie za to funkcjonuje przekonanie, że interesy narodowe niejednokrotnie wykraczają poza chwilową wolę ludu.

Ponadto opisywane powyżej ujęcie nie ma wiele wspólnego z russoizmem. W koncepcji woli powszechnej nie chodziło o dyktaturę większości czy sumę wól jednostkowych. Przeciwnie, Jan Jakub Rousseau ukierunkował rozumienie tego terminu, dość utopijnie zresztą, nie na zasadę większości, ale na ideał jednomyślności ludu. W związku z tym, że ten ostatni trudno osiągnąć, idea woli powszechnej stała się faktycznym podglebiem pod różne nacjonalistyczne dyktatury ostatnich dwóch wieków – wszak to uosabiający narodową wolę przywódca może lepiej rozumieć narodowe wspólnoty niż często nieoświecony, a może i poddany wpływom ośrodków zagranicznych, lud. Koliduje to ujęcie z zarzutami o rozumiany w duchu kultu woli większości ultrademokratyzm, czyż nie?

Narodowe populizmy w swojej strategii odwołują się nie tyle nawet do ludu jako całości, ile do tej jego części, która jeszcze nie zatraciła czucia wartości narodowych na pewnym rudymentarnym poziomie. Nie jest przypadkiem, że często jest to elektorat małomiasteczkowy czy wiejski, częściej robotnicy niż inteligencja, częściej biedni niż bogaci, częściej pracujący fizycznie niż mający czas na chłonięcie postmodernistycznych narracji czy to na uczelniach, czy w liberalnych mediach. Mowa przeważnie o ludziach charakteryzujących się pewnym stopniem zakorzenienia, naturalnie mniej podatnych na slogany sączone przez kosmopolityczną inteligencję. Oczywiście w Polsce elektorat ten zagospodarowuje obecnie przede wszystkim PiS, można jednak założyć, że z czasem pojawi się tu pole do „łowienia" dla innych sił – nie o tym jednak dziś, ale o ogólnym charakterze zjawiska.

Istotne jest to, że mówimy o realnie funkcjonującym zjawisku. We Francji to właśnie lud zahamował w 2005 r. (a był tego bliski w 1992 r.) postępy integracji europejskiej – do której niemal bezkrytycznie podchodziły establishment i duże demoliberalne partie. Ogół francuskiego elektoratu właściwie zawsze był za ograniczeniem imigracji – i każdorazowo zdradzały go elity. Podobnie w Wielkiej Brytanii – swego czasu aż 74 procent robotników popierało słynną przemowę konserwatysty Enocha Powella o „rzekach krwi", podczas gdy sama jego macierzysta partia się jej zaparła.

Nawet dziś okazuje się, że elektorat lewicowej Partii Pracy jest w wielu kwestiach bardziej konserwatywny niż... posłowie Partii Konserwatywnej – przynajmniej jeśli wierzyć badaniom z raportu *The UK in a Changing Europe* z 2020 r. Inne badania, przytaczane przez Rogera Eatwella i Matthew Goodwina w książce *Narodowy populizm. Zamach na liberalną demokrację*,wskazywały, że o ile wśród obywateli państw UE jedynie dwóch na dziesięciu przejawiało dumę ze swojej europejskiej tożsamości, o tyle wśród polityków było ich już siedmiu na dziesięciu. Jak można się domyślić – dodajmy dla jasności – raczej nie chodzi tu o tożsamość europejską rozumianą w duchu dziedzictwa Christianitas.

W innym miejscu książki czytamy: „W ankiecie przeprowadzonej przez Chatham House 57 procent członków elit uważało, że imigracja przynosi korzyść ich krajowi, a tylko 25 procent społeczeństwa podzielało ten pogląd. [...] Elity dwa razy częściej niż opinia publiczna odrzucały ideę, że imigracja wpływa na wzrost przestępczości i obciąża system opieki społecznej. Z kolei społeczeństwo znacznie bardziej pragnęło odebrania UE uprawnień i przywrócenia ich państwom narodowym, było bardziej skłonne uważać, że w przyszłości inne kraje opuszczą UE, nie zgadzało się na członkostwo w UE w dużej mierze islamskiego państwa tureckiego, uważało, że ich kraj nie powinien przyjmować żadnych uchodźców, i chciało powstrzymać wszelką dalszą imigrację z państw muzułmańskich, pod czym podpisywała się ponad połowa ludzi. Uformowani przez inne wykształcenie i inne systemy wartości, ludzie u władzy są często znacznie bardziej liberalni niż ci, którzy ich na szczyty władzy wynieśli".

Z kolei według badań przeprowadzonych w 2018 r. przez Mitchella Langberta wśród wykładowców amerykańskich uczelni aż 10-krotnie więcej ankietowanych stanowili zwolennicy lewicowo-liberalnych demokratów niż republikanów – zachowawczych, bardziej narodowych, ewoluujących już wówczas silnie ku temu, co zwiemy trumpizmem. Tego typu badań z różnych państw można przytaczać dziesiątki, a pewnie i więcej. Wszyscy znamy także sondaże z Polski wskazujące na to, że lud jest znacznie bardziej konserwatywny, oporny wobec zmian obyczajowych, przywiązany do suwerenności, niż elity intelektualne, kulturalne, polityczne – i nikogo to specjalnie nie dziwi.

Oczywiście praktyka jest uzależniona od warunków, a i pewne procesy, postępując nieustannie od półwiecza, zdążyły zapuścić głębokie korzenie. Przykładowo, w zlaicyzowanej Francji trudno dziś liczyć na sprzeciw mas wobec aborcji – czterech na pięciu Francuzów popiera jej legalność – natomiast już nastroje antyimigranckie, suwerennościowe czy po prostu patriotyczne, ocierające się nawet o ksenofobię, są tam popularne, i to właśnie na nich bazuje tamtejszy narodowy populizm. Prawdą jest, że w samej Polsce skala naiwnego zupełnie euroentuzjazmu wśród mas przekracza standardy znane z innych państw, choć tu z kolei lud jest też bardziej przywiązany do religii niż gdzie indziej, co przekłada się na nieco większy konserwatyzm kulturowy. Nie zamierzamy dowodzić, że opisywany stan jest w pełni zadowalający – świadomy narodowiec stwierdzi, że należy pracować nad jego zmianą, ale też niekoniecznie będzie zakładał, że w tym pokoleniu da się zrealizować wszystko. Do tego wątku jeszcze wrócimy.

Nie idealizując więc nawet tych części ludu, które stają się elektoratem partii narodowo-populistycznych, należy stwierdzić, że z perspektywy konserwatyzmu kulturowo-obyczajowego masy są „zepsute", tj. skorodowane już mocno przez wpływ narracji liberalno-lewicowej – nie chodzi tu więc o russowski mit dobrego człowieka. Wciąż jednak to „zepsucie" ogarnia warstwę ludową w stopniu zauważalnie mniejszym niż liberalne elity. Powtórzmy: lud nie jest ani przesadnie religijny (czasem w ogóle), ani bardzo silnie narodowy – ale pewne tendencje gdzieniegdzie w nim drzemią, czasem się ujawniają i da się je rozpoznać. To, co destrukcyjne i je rozkładające, idzie przeważnie z góry: od elit medialnych i politycznych, celebrytów i zachodnich NGO-sów, z mediów i popkultury. Zarówno z kręgów, które świadomie szerzą kosmopolityzm i permisywizm, jak i tych, które podążają za nimi siłą inercji – z szeregu ośrodków, które przeważnie można spiąć klamrą elitaryzmu, niepochodzenia z warstw niższych. I przynajmniej czasem znajdujemy w ludzie odruchy sprzeciwu wobec tych tendencji. Czasem – raz jeszcze podkreślmy, by uchronić się od zarzutu ludomanii. Nie ma więc w ludzie potencjału do katolickiej kontrrewolucji czy budowy państwa nacjonalistycznego na kształt tych znanych z międzywojnia, występuje za to – być może! – zdolność do obrony pewnych przyczółków tego, co zwiemy „normalnością". Częściej pewnie przyczółków narodowych, patriotycznych niż *stricte* konserwatywnych – no ale jeśli rozmawiamy o polityce na serio, to mówmy o tym, co realne, a nie o wyobrażeniach.

I jeśli lud, skażony w mniejszym lub większym stopniu patologiami współczesności, w imię płytko nawet ujętego patriotyzmu, sprzeciwu wobec imigracji czy punktowej choćby niechęci do „ideologii LGBT", słowem – w imię jakkolwiek pojętej „normalności", odrzuci rządy establishmentu, będącego realnym synonimem tego wszystkiego, z czym walczymy, to należy temu dziełu przyklasnąć, a nie płakać, że nie towarzyszy mu restytucja monarchii legitymistycznej, tradycyjnego ładu czy rządów konserwatywnej elity. O dziwacznym postulacie odrzucenia zasady suwerenności narodu nawet nie wspominając – ale o tym za chwilę.

Jeśli nie lud, to kto?

Narodowy populizm można popierać, wcale nie ekscytując się nawet aktywnością mas ludzkich jako taką – wystarczy dostrzec, że we współczesnych warunkach to wyłącznie lud, a może raczej jego narastający gniew, może stać się katalizatorem głębszych zmian systemowych. Nie dziś może, ale za 15 czy 25 lat? Jak głębokich i gdzie one nas zaprowadzą – tego też nikt dokładnie nie wie, ale przewaga nacjo-populistycznej narracji polega na tym, że operuje ona odniesieniem do czegoś namacalnego, czegoś, co ma miejsce, co wydaje się autentyczne i przez to niesie potencjał faktycznej zmiany, a co najmniej wywołania pewnego fermentu, przypomnienia szerszym grupom o niektórych bliskich nam ideach. Z kolei opowieści o kontrowaniu populizmu wizją tworzenia elit narodowo-katolickich, a tym bardziej wizją przywrócenia dobroczynnych rzekomo standardów nierówności społecznej i dziedzicznej monarchii – brzmią w tym zestawieniu trochę jak baśnie mchu i paproci. Są nie tylko anachroniczne, ale i szkodliwe, bo odciągają od realnych spraw. Nawet przy śmiałym założeniu, że reprezentują one słuszny aksjologicznie kierunek (nie podzielam tego zdania), to jak Muszyński wyobraża sobie opartą na nich narrację siły politycznej reprezentującej nacjonalizm? Czy naprawdę chce podnosić hasło „smagania batem" ludu, tak jak to opisywał cytowany przezeń Maurras wiek temu w gazecie przeznaczonej dla zbuntowanej inteligencji? Nawet wówczas nie był on blisko wdrożenia w życie swoich koncepcji społeczno-ustrojowych.

Nie jest wreszcie prawdą, że zwolennicy narodowego populizmu z zasady kapitulują z dążenia do wpływu na kształtowanie ludu. Podobnie nieprawdą jest to, że historyczne demokratyzmy, od Rousseau

począwszy, z tego rezygnowały. Było wręcz przeciwnie. To Jan Jakub i jego spadkobiercy, w kontrze do liberałów, postawili nacisk na wychowawczą rolę instytucji państwowych. Mamy więc tu kolejny chochoł stawiany w tekście Muszyńskiego.

W odniesieniu do współczesności pytanie brzmieć powinno raczej, jak należałoby skutecznie te masy kształtować. I przewrotnie odpowiedzmy również postawieniem pytania – kto lepiej kształtował lud francuski: Front Narodowy Jeana-Marie Le Pena, trwale i skutecznie zdemonizowany w oczach ogółu, mający 10 procent poparcia i brak wpływu na cokolwiek, ale za to słuszność w każdej istotnej sprawie, czy może ruch jego córki, rezygnujący z jednych priorytetowych spraw, by móc dać rozgłos i wagę innym priorytetowym (bo suwerenność państwa i imigracja to nie są sprawy drugorzędne)? Pytanie to oczywiście otwarte i odpowiadając na nie, również należałoby wskazać na szerokie spektrum szarości – ale przecież piłka ciągle jest w grze.

Można też założyć, że część liderów ugrupowań populistycznych zakłada, że spontaniczne odruchy ludu da się przekuć w coś trwalszego. Nie bez racji Giorgia Meloni podkreśla, że nowa lewica prowadzi swoją walkę już ponad pół wieku, a przez cały ten czas modyfikowała swoją retorykę, radykalizując stopniowo postulaty. Zakładanie więc, że „nasza strona" odwojuje te pola w kilka lat, jest skazane na niepowodzenie. Zauważyć należy również to, że większość istotnych ruchów narodowo-populistycznych jest w swoich krajach – mimo wszystko! – wciąż daleko bardziej konserwatywna obyczajowo od partii mainstreamu. Vox, Bracia Włosi, Liga czy AfD to siły generalnie sprzeciwiające się dalszym postępom rewolucji obyczajowej, wyrażające stonowaną, ale jednak krytykę zjawisk takich jak aborcja czy ruch LGBT. A jeśli skala tej krytyki jest (z naszej perspektywy) mało satysfakcjonująca, stanowi to przeważnie konsekwencję warunków, w jakich działają te siły.

Wolty ideowe Marine Le Pen uchodzą w polskim środowisku narodowym za godne ubolewania – pewnie nawet głównie z powodu wymuszającego je, marnego stanu francuskiego społeczeństwa. Ale na wystawienie ostatecznej oceny dajmy jeszcze sobie trochę czasu – jest w tym pewna logika, a może i słuszność. I wydaje się oczywiste, że w polskich realiach – z racji właśnie tutejszej specyfiki – potencjalny ruch narodowo-populistyczny siłą rzeczy miałby oblicze bardziej konserwatywne kulturowo niż jego zachodnie odpowiedniki.

> Ostatecznie nie ma wielkiego może nawet znaczenia, jaki jest dziś sam lud. Jak wspomniano, liczy się przede wszystkim to, że jedynie on wydaje się mieć potencjał do zapoczątkowania zmian. A gdzie nas one zaprowadzą – nikt tego nie wie. W 1789 roku nikt z inicjujących rewolucję nie spodziewał się, że w ciągu kilku lat padnie monarchia, nastanie dyktatura ludowa jakobinów, a w końcu dyktatura wojskowa Napoleona. Trudno wskazać w przewidywalnym horyzoncie czasowym czynnik inny niż ludowy mogący stać się zarzewiem głębszych zmian obecnego stanu.

Można więc sobie zadać pytanie, co właściwie proponuje autor w kontrze do linii narodowo-populistycznej. Jak się wydaje, jego kontrpropozycją jest hasło „formowania elit", i nad nim warto się chwilę zatrzymać. Trudno w ogóle polemizować z narracją, że nasza strona potrzebuje elit – i tego również nikt nie robi. Bo i dlaczego odwołanie do ludu miałoby przeczyć temu postulatowi? Zawsze funkcjonują jakieś elity – były nawet w systemach głoszących egalitaryzm w wersji skrajnej, a więc i w państwach Europy

po ewentualnym przejęciu władzy przez populistów również takie będą istnieć. Tyle tylko, że nastąpi to nie w wyniku zadekretowania inicjacji procesu pt. „tworzenie elit".

Mając pewne doświadczenie działalności w środowiskach narodowych, o tworzeniu elit czy wykuwaniu kadr słyszałem dziesiątki albo setki razy – ileż to szkoleń przez cały ten czas człowiek przeszedł czy nawet współorganizował, ileż tekstów napisał i w ilu inicjatywach publicystyczno-intelektualnych się udzielał. Uznając niewątpliwą wagę wysiłku sprofilowanego na kształtowanie elit, trudno uniknąć stwierdzenia, że te wykuwają się w przede wszystkim w toku formacji intelektualnej oraz realnej pracy społecznej – ale zupełnie niezależnie od tego, czy dany ruch weźmie na sztandary hasła egalitarne czy elitarne. Można je kształcić wewnętrznie, odwołując się w retoryce politycznej do interesów i woli mas – nie ma tu najmniejszej nawet sprzeczności. Nie istnieje bowiem antynomia populizm – formacja kadr. Niech będzie dobrym tego dowodem fakt, że środowisko Nowego Ładu, wyrosłe z czasopisma „Polityka Narodowa", popularyzując wiedzę o ruchach narodowo-populistycznych, jest (pośród mediów) właściwie monopolistą w zakresie formowania kadr młodego środowiska narodowego.

Ostatecznie prawdziwa elita narodowa to taka, która czuje masy, która jest w stanie znaleźć odpowiedzi na ich problemy, a ostatecznie im przewodzić – a nie taka, która swoją drogę widzi w separowaniu się od nich i utwierdzaniu we własnej wyższości. Brzmi jak banał, ale widocznie trzeba to powiedzieć. Wróćmy jednak do rdzenia sprawy – do korzeni samej idei narodowej, schodząc na poziom tego, co w wywodzie Muszyńskiego najbardziej może ciekawe.

Bez rewolucji nie byłoby nowoczesnego narodu

Trudno się pewnie dziwić, że na prawicy nie mają dobrej prasy faktyczni twórcy państwa narodowego, autorzy pierwszego zrealizowanego projektu nacjonalistycznego – francuscy jakobini. Wszak ich „wielki terror" pochłonął kilkanaście tysięcy ofiar – często niewinnych, i tego nie tłumaczy zapewne fakt, że Francja walczyła wówczas z połową Europy, wspomaganą przez spiskujące z zagranicą liczne lokalne rewolty. Nie tłumaczy brutalności Konwentu również to, że w trwającym wiele wieków dziele unifikacji Francji rządzący nią – także ci z prawej strony – bywali równie brutalni, o czym konserwatyści nie pamiętają nigdy.

Nie będzie dziś nikt pewnie przeczyć również zbrodniom popełnionym w Wandei. Co prawda, wbrew temu, co wydaje się polskiemu prawicowcowi, wśród francuskich historyków trwają dziś autentyczne spory wokół charakteru działań armii republikańskiej i tego, czy spełniają one kryteria ludobójstwa, a jeśli tak, to komu konkretnie należy przypisać za nie odpowiedzialność. W jakimkolwiek jednak kierunku by one zmierzały, nie ma powodów zaprzeczać temu, że wydarzyło się tam wiele potworności, że zginęły dziesiątki tysięcy, a może i więcej ludzi. Zaprzeczyć możemy co najwyżej twierdzeniom kol. Muszyńskiego o narodowym charakterze zrywu wandejskiego – ale to przede wszystkim dlatego, że zaprzeczyliby mu i sami powstańcy, których okrzykiem było „Precz z narodem!". I to jednak są niuanse – Wandea jest dziś częścią narodowej historii Francji.

Nie ma też po co przeczyć najgorszemu ze skutków rewolucji, a więc upadkowi autorytetu Kościoła, co przełożyło się w dłuższej perspektywie na laicyzację nie tylko narodu francuskiego. Nie przekreśla winy rewolucjonistów to, że trzymająca się kurczowo *ancien régime'u* hierarchia kościelna również zrobiła wiele, by konfrontacja ta się pogłębiała – a przecież na początku kler gremialnie poparł rewolucję. Wbrew zresztą temu, co wyobrażają sobie fani teorii spiskowych, bynajmniej nie było dążeniem rewolucjonistów

wyprzeć z Francji religię.

> Nie dziwi to, że prawica nie lubi jakobinów – ale zdumienie już powinno wywołać to, że wielu nacjonalistów ma do nich stosunek identyczny co tradycjonaliści. Dlaczego bowiem miałyby wszystkie wymienione, już bardzo ciężkie historyczne przewiny zniwelować to, o czym już wspomniano – kluczową dla wytworzenia nowoczesnych narodów i zainicjowania nacjonalizmu rolę rewolucji? Odpowiedź brzmi: konserwatywna prawica narodowa przeważnie wydaje się po prostu nie być w stanie tego faktu do siebie dopuścić. Psychologicznie jest to zrozumiałe – łatwiej nam wierzyć w czarno-białe obrazy niż w te bardziej zniuansowane.

Powołując się na de Maistre'a i Chateaubrianda, pisze Muszyński o tym, że również kontrrewolucjoniści miewali wyrobione poczucie narodowe, co miałoby być – w jakimś stopniu, przyznaje autor – przeciwwagą dla twierdzeń o rewolucyjnym pochodzeniu nowoczesnych narodów. Tyle tylko, że nie w tym rzecz.

Przypominającym rewolucyjną genezę nacjonalizmu nie chodzi o zaprzeczanie zamierzchłym źródłom poczucia narodowego jako takiego. Te są znane każdemu, kto nie dał się do reszty zwieść klasykom modernistycznej teorii narodu. Chodzi o to, że to dopiero rewolucja stawia naród na piedestale, czyni go najwyższą wartością doczesną – podmiotem życia politycznego – i sprawia, że inne lojalności wspólnotowe trwale schodzą na dalszy plan.

> To rewolucja podnosi ideał narodu masowego, ponadstanowego, unicestwiającego dotychczasowe przynależności społeczne, i to od rewolucji rozpoczyna się aktywne wcielanie go w życie przez aparat państwowy. Co więcej, to rewolucja wreszcie nadaje tym tendencjom dynamizm – to od niej datujemy czasy triumfu myślenia narodowego – najpierw we Francji, a potem w innych krajach kontynentu, olśnionych jej blaskiem bądź zmuszonych do tego jej orężem. To dziejowy przewrót w polityce, sformułowanie zasad życia państw na nowo – przewrót, który doprawdy trudno zbagatelizować przywołaniem znanego cytatu z de Maistre'a albo dowolnego faktu z dziejów dawniejszych, mającego poświadczyć o tym, że również dawniej występowało poczucie narodowe.

Hołdowanie zasadom owego przewrotu sprawia, że (co najmniej funkcjonalnie) najbardziej nawet konserwatywny nacjonalizm *de facto* bliższy będzie jakobinizmowi niż standardom *ancien régime'u*.

Podkreślmy to raz jeszcze. Bez rewolucji więc ani współczesny naród, ani żaden nacjonalizm po prostu by nie zaistniały. Państwa narodowego nie byłoby bez przekreślenia różnic lokalnych i utworzenia nowoczesnego scentralizowanego aparatu administracyjnego, czego nie przesłoni budzący szacunek sentyment Barrèsa i Maurrasa do regionalizmów gniecionych przez republikę jedną i niepodzielną. Tym bardziej nie byłoby współczesnego narodu-państwa bez zniesienia stanów – jak bowiem w dawnych warunkach miałaby narodzić się żywa i trwała wspólnota, w której o pozycji człowieka nie decyduje urodzenie? Jak warstwy posiadające, definiujące całe swoje jestestwo poprzez odwołanie do elitarnej pozycji spo-

łecznej, miałyby się pogodzić ze zrównaniem w prawach z usługującymi im dotąd parweniuszami?

Bez wyklinanej w omawianym artykule zasady suwerenności ludu nacjonalizm jako taki nie zaistniałby, bo naród jako ponadstanowa wspólnota był w systemie przedrewolucyjnym trudny do wyobrażenia. Arystokrata z chłopem nie miał nic wspólnego – często zapomina się, że przypominana wszędzie fraza Sieyèsa o wypędzaniu szlachty do lasów Frankonii jest zaledwie rewersem popularnych w XVII i XVIII w. teorii o odrębnym pochodzeniu etnicznym szlachty i ludu francuskiego. Jest zaledwie odpowiedzią na promowaną m.in. przez hrabiego de Boulainvilliers tezę, że podbój Galii przez Franków uprawomocnił wielowiekowe panowanie potomków tych ostatnich nad potomkami tych pierwszych. Tworzenie homogenicznego narodu francuskiego, na który składają się wszystkie stany, wymagało zburzenia – zapewne brutalnego – tych przegród. Zburzenia także w umysłach ludzi, zaprezentowania im nowego projektu. Takiego, który spoi dawne elity z plebsem, co samo w sobie stanowiło rzecz psychologicznie niewyobrażalną dla arystokratów – dopóki nie zmusiła ich do tego siła. Nacjonalizm musiał więc narodzić się na lewicy i być lewicowy aż do czasu triumfu swoich egalitarnych zasad w częściowym choćby zakresie.

Druga część artykułu

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=zHliC-bYExc

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/kontrrewolucji-nie-bedzie-czyli-obrona-populizmu/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć